

WITAJCIE WYBORCY

Wybory w PRL: udawana demokracja

Michał Siedziako

Rządy komunistów w Polsce nigdy nie miały demokratycznej legitymacji, mimo że wybory – warunek uznania powojennych władz przez zachodnich aliantów – w PRL odbywały się systematycznie.

Pierwszymi głosowaniami w Polsce pod rządami komunistów były referendum z czerwca 1946 roku i wybory do Sejmu Ustawodawczego ze stycznia 1947 roku. Podczas poprzedzających je kampanii dokonano brutalnej pacyfikacji zbrojnego podziemia antykomunistycznego oraz działającej legalnie opozycji politycznej – Polskiego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Pracy. W ich likwidacji ważną rolę odegrały podporządkowane Polskiej Partii Robotniczej struktury aparatu represji, których działalność koordynowała Państwowa Komisja Bezpieczeństwa.

Terror i głosowanie bez skreśleń

W walce z przeciwnikami komuniści zastosowali szeroki wachlarz metod. „Akcjom pacyfikacyjnym”, podczas których rozbijano ukrywające się w lasach zbrojne grupy przeciwników nowego ustroju politycznego, towarzyszyło zastraszanie miejscowej ludności, zwolennikom opozycji odbierano prawa wyborcze, konfiskowano majątki, osoby zaangażowane w działalność opozycyjną były narażone na szykany w pracy i aresztowania. Nierzadkie były także przypadki mordów politycznych. Tylko w memoriale PSL w sprawie wyborów, złożonym 18 grudnia 1946 roku

ambasadorom USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR w Warszawie, wskazano imieniem 110 zabitych członków i sympatyków stronnictwa. Trudno dziś jednak określić precyzyjnie ogólną liczbę zamordowanych wówczas z powodów politycznych działaczy opozycji legalnej i podziemia niepodległościowego. Zastraszonych wyborców zmuszano do jawnego głosowania po myśli komunistów i ich sojuszników, występujących pod fałszywym szyldem „bloku demokratycznego”. Mimo ogromnej presji psychicznej, a często i fizycznej, nie obyło się bez fałszerstw – przywódcy PPR, chcąc ogłosić swój sukces, musieli „poprawić” wyniki obu głosowań, w czym pomogli im przysłani do Polski specjaliści na tę okazję specjaliści ze Związku Radzieckiego.

Groteskową formę miały pierwsze wybory do Sejmu PRL w 1952 roku. ▶

▶ W okresie wyborów na murach i jezdniach „niewidzialna ręka” malowała napisy zniechęcające obywateli do udziału w fałszowanych głosowaniach

ZDRA
LUB
IDZIE DO

Odbyły się one w szczytowym okresie stalinizmu w Polsce. Po wyeliminowaniu ze sceny politycznej niezależnego ruchu ludowego i chadeckiego oraz aneksji Polskiej Partii Socjalistycznej przez PPR, Polską niepodzielnie rządziła już Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Ordynacja wyborcza zakładała, że zgłoszone listy wyborcze mogły zawierać tylko tylu kandydatów, ilu posłów miało zostać wybranych w danym okręgu. Chociaż przepisy dopuszczały możliwość rejestracji wielu list, sterowany przez komunistów aparat wyborczy, realizując zalecenia partyjnego centrum, dopuścił do zarejestrowania w każdym z okręgów tylko kandydatów występujących pod szyldem Frontu Narodowego. Wytworzyło to kuriozalną sytuację, w której wszyscy kandydaci zostali „wybrani”, gdyż ich liczba była równa liczbie mandatów do obsadzenia. Można zatem powiedzieć, że posłów mianowała *de facto* PZPR. Taki model „wyborów” zgodny był z wdrażanymi wówczas na różnych płaszczyznach życia społeczno-politycznego PRL wzorcami sowieckimi. Wyborom towarzyszyła nachalna akcja propagandowa, w ramach której nakłaniano ludzi do udziału w wyborczej farsie i jawnego oddawania głosów bez ingerencji na karcie wyborczej. Trzeba tu wyjaśnić, że ordynacja nie przewidywała, tak jak dziś, głosowania pozytywnego, czyli zaznaczania wybranego kandydata, lecz głosowanie negatywne

– skreślanie tych osób, których wyborca nie chciał w parlamencie. Głosowanie przebiegało w atmosferze terroru szerzonego przez rozbudowany aparat bezpieczeństwa publicznego.

Pewne złagodzenie wpływów sowieckich nastąpiło wraz z tzw. odwilżą w 1956 roku. W uchwalonej przez sejm w październiku tegoż roku nowej ordynacji wyborczej wprowadzono obowiązek zamieszczania na listach wyborczych większej (ale maksymalnie o dwie trzecie) liczby kandydatów niż liczba mandatów do obsadzenia w danym okręgu. Wyborcy mogli dokonywać skreśleń, a głosy zdobywali nieskreśleni kandydaci z listy, na którą wyborca głosował. Jeśli skreśleń na karcie nie było, do sejmu wchodził zamieszczony na niej w pierwszej kolejności, na tzw. miejscach mandatowych. Deklarowana przez władze „demokratyzacja” miała jednak bardzo ograniczony charakter, formalną możliwość wyboru zawężono do kandydatów występujących po raz kolejny pod jednym szyldem – Front Narodowy został zastąpiony przez Front Jedności Narodu. W toku kampanii wyborczej początkowo zachęcano do głosowania „na najlepszych z listy”, sytuacja zaczęła się jednak wymykać spod kontroli. Na zebraniach wyborczych dochodziło do ostrych starć między

przedstawicielami PZPR i Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, kampanię skierowaną przeciwko sobie prowadzili także członkowie różnych frakcji funkcjonujących nieformalnie w samej partii. „Na ogół ze wszystkich województw towarzysze sygnalizowali o hasłach nawołujących do »niewybijania komunistów«” – czytamy w raporcie przygotowanym przez Wydział Organizacyjny Komitetu Centralnego PZPR na podstawie relacji sekretarzy komitetów wojewódzkich PZPR 7 stycznia 1957 roku. Pojawiło się ryzyko, że z list skreśleni zostaną kandydaci, którzy w zamiśle władz partyjnych mieli znaleźć się w przyszłym sejmie (ostatecznie w pierwszej turze wyborów nie został wybrany tylko jeden kandydat zamieszczony na liście na miejscu mandatowym w okręgu wyborczym z siedzibą w Nowym Sączu). W tej sytuacji Biuro Polityczne KC PZPR postanowiło zmienić strategię i 7 stycznia 1957 roku podjęło decyzję o propagowaniu hasła „głosowania bez skreśleń”. Stało się ono nieodłącznym zjawiskiem kampanii wyborczych aż do 1985 roku.

► Kampania wyborcza w 1947 roku prowadzona była z rozmachem; ul. Piotrkowska w Łodzi, styczeń 1947 roku



Stałym elementem peerelowskiej praktyki wyborczej w całym tym okresie było także rejestrowanie tylko jednej listy wyborczej. Do 1980 roku była to lista FJN, w 1985 roku zaś – Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Wyborcy głosujący bez skreśleń na jedną listę nie dokonywali właściwie żadnego wyboru. Ich rola sprowadzała się do akceptacji kandydatów wystawionych przez FJN, następnie PRON. Obie te struktury miały charakter fasadowy. Choć tworzyli je przedstawiciele różnych organizacji i środowisk, w rzeczywistości ich działalnością sterowała PZPR.

Bezskuteczna krytyka

Kampanie poprzedzające wybory do sejmiku w PRL nie mogły być w tej sytuacji rywalizacją między poszczególnymi kandydatami na posłów. Miały one przede wszystkim mobilizować społeczeństwo do udziału w wyborach i zaangażowania w proces wyborczy. Chodziło również o rozpropagowanie uchwał i planów uchwalanych przez Zjazdy PZPR (stanowiły one podstawę kolejnych programów wyborczych), określanych górnolotnie jako „programy całego narodu”, które miały być akceptowane i realizowane przez całe społeczeństwo.

Polacy doskonale zdawali sobie sprawę z fasadowego charakteru wyborów. To, że o składzie najwyższego organu władzy państwowej decydowała partia, było swoistą tajemnicą publiczną. „Tyle razy to widziałem, a ciągle rzecz wydaje mi się niepojęta i nieprawdopodobna. W telewizji pokazują, jak całe wsie idą »do urny« z kapelą, jak głosują »intelektualiści«, aktorzy, etc., bez przerwy powtarza się, że to ogromny sukces, że głosuje się za »lepszym jutrem«, za przyszłością Polski, za owym, ale nikt nie bąknie słówka na temat, o którym wszyscy doskonale wiedzą: że to nie są żadne wybory, lecz upokarzająca komedia, bo kandydaci są z góry wyznaczeni i mianowani” – notował po wyborach w 1976 roku w swoim dzienniku Stefan Kisielewski.

Fot. PAP/Witold Rozmysłowicz



► Zachęcanie do głosowania grupowego (szczególnie w przypadku instytucji – w tym zwłaszcza mundurowych, jak wojsko czy milicja) pod hasłami poparcia dla władz było metodą chętnie stosowaną przez rządzących komunistów przez cały okres PRL i stanowiło nie tylko narzędzie propagandowe, lecz także ułatwiała falszerstwa; na zdjęciu głosowanie w jednostce wojskowej, 1976 rok

Dezaprobatę wobec obowiązujących praktyk wyborczych wyrażano w korespondencji kierowanej do różnych instytucji. Ryszard Diamentowski, wyborca z Poznania, w liście z kwietnia 1969 roku pytał Państwową Komisję Wyborczą, po co w ogóle przeprowadzać kosztowne głosowania, skoro są one fikcją. W tym samym roku Pelagia Skrzydło, mieszkanka Tarnowskich Gór, zarzucała władzom brak cywilnej odwagi, ażeby dopuścić pod głosowanie kilka odrębnych list. Anonimowy autor skargi wyborczej z 1980 roku stwierdzał z kolei, że władze traktują wyborców jak „automaty”, dodając, że jeżeli kolejne wybory odbędą się na dotychczas obowiązujących zasadach, to nie warto ich organizować, „bo i tak ci wstawieni na pierwszym planie będą wybrani”. Zaznaczał jednocześnie, że jest „oddany Polsce Ludowej”, ale „słysz, co mówią sąsiedzi”. Negatywne opinie o sposobie przeprowadzania wyborów padały niekiedy nawet na zebraniach oficjalnych organizacji. Na

przykład na posiedzeniu Powiatowego Komitetu Zjednoczone Stronnictwa Ludowego w Świnoujściu 28 stycznia 1972 roku Służba Bezpieczeństwa odnotowała „wypowiedzi, iż przy obecnym systemie wyborczym nie ma celu brać udziału w głosowaniu, bo i tak z góry wiadomo, kto zostanie posłem. Uzasadniano to tym, iż kandydatów na posłów ustala się na szczeblu wojewódzkim i z góry określa miejsca mandatowe”.

Mimo tego uczestnictwo w peerelowskich spektaklach wyborczych było gremialne. Według oficjalnych danych, z wyjątkiem 1985 roku, frekwencja zawsze przekraczała 90 proc., a przytłaczająca większość wyborców oddawała głosy jawnie (bez wchodzenia do kabiny), bez skreśleń. Decydowało o tym wiele czynników: u jednych było to poczucie „obywatelskiego obowiązku”, inni działali pod wpływem presji propagandy i otoczenia, jeszcze inni obawiali się ewentualnych reperkusji. „Uprzejmie powiadamiam o tym, że były wypadki ►



Fot. AIPN

► Spotkanie przedwyborcze Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, 1989 rok

ponoszenia gorzkich konsekwencji przez te osoby, które w czasie głosowania wchodziły do kabiny [...] – a więc głosowanie zgodne z Konstytucją. Dlatego też zwracam się do Państwowej Komisji Wyborczej z uprzejmą prośbą o takie zorganizowanie nadchodzących wyborów [...], aby lojalny obywatel dokonujący głosowania zgodnie z naszą Konstytucją, nie był następnie dręczony i uznawany za wroga socjalizmu, za to głosowanie” – pisał Józef Wyczółkowski, wyborca z Czyżewa, w liście do PKW z 1980 roku. O konsekwencjach „niesubordynacji” podczas wyborów mówił też anonimowy list do przewodniczącego PKW z tego samego roku: „Górnicy w Zabrze opowiadają i sam też to widziałem w 1976 roku, że w lokalach wyborczych w składzie komisji albo obok komisji siedzi taki obserwator, który zapisuje tych wszystkich, co idą za kotarę i że tacy potem mają kłopoty w pracy z awansem i lepszą pracą. Że tacy obserwatorzy są, to mówili też członkowie komisji w lokalach wyborczych”.

Wyższa frekwencja wynikała też z tego, że komisje wyborcze dopuszczały możliwość głosowania za kogoś (sąsiada lub członka rodziny), zdarzały się przypadki manipulowania spisami wyborców (np. wydawano fikcyjne zaświadczenia o prawie głosowania poza miejscem zamieszkania, dzięki czemu nieobecność określonych osób na wyborach nie miała wpływu na obniżenie

frekwencji). Aby wykazać się dobrymi wynikami wyborów, lokalni działacze „poprawiali” też wyniki głosowań. Członek Gminnej Rady Narodowej z Mińska Mazowieckiego Stanisław Łodyga, odpowiadając na wysuniętą przez władze przed wyborami do Sejmu w 1985 roku propozycję wydłużenia głosowania do dwóch dni pisał: „Jesteśmy już przyzwyczajeni, że wybory trwają jeden dzień, będą mniejsze koszty i mniej czasu na kombinacje, które wyczerpują znamiona przestępstwa z art. 189 par. 1 KK. Tak, kombinacje – gdyż jako działacz gminny mam w tym zakresie pewne doświadczenia. Wyborcy zdają sobie sprawę, że akt głosowania nie zmienia stanu rzeczy i lekceważą ten obowiązek. Szczególnie jaskrawo ujawniło się to przy ostatnich wyborach [chodzi o wybory do rad narodowych z 1984 roku – przyp. M.S.]. Żeby przekroczyć granicę 50 proc. frekwencji, działacze gminy i pracownicy K[omisji] G[minnej] stają dosłownie na głowie, a na dodatek ponaglanie z województwa i stąd rodzi się przestępstwo fałszowania wyborów – głównie fikcyjne zwiększanie liczby głosujących”.

Wybory parlamentarne, w których uczestniczyli Polacy aż do 1985 roku, nie były w rzeczywistości wyborami. Wyborcy przypieczętowali w nich jedynie, w myśl zachowania pozorów demokracji, decyzje podejmowane wcześniej w strukturach PZPR, gdzie projektowano skład sejmu zarówno pod względem politycz-

nym, jak i społeczno-zawodowym. Przyszli posłowie wyłaniani byli w wyniku wewnątrzpartyjnych ustaleń, w których toku zachodziła ograniczona, ukrywana za fasadą powszechnej jedności rywalizacja między różnego rodzaju grupami interesu. Kandydaci byli dokładnie weryfikowani, nie było mowy o jakiegokolwiek przypadkowości. Partia, chcąc utrzymać swoją hegemoniczną pozycję w systemie politycznym PRL, musiała zapewnić sobie pełną kontrolę nad składem kluczowego organu władzy państwowej.

Nudne referaty kontra profesjonalny show

Z tej perspektywy wybory w 1989 roku miały wręcz rewolucyjny charakter. Po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej Polacy zostali realnie włączeni do decydowania o sprawach państwowych. Wybór był co prawda ograniczony – dotyczył tylko 35 proc. mandatów w sejmie, o które mogli ubiegać się bezpartyjni, oraz przywróconego senatu – pojawiło się jednak miejsce na rywalizację między przedstawicielami dotychczasowej władzy a jej przeciwnikami. Wybory przybrały formę starcia dwóch obozów: PZPR i jej satelitów oraz części opozycji pod przywództwem Lecha Wałęsy, która zdecydowała się na kompromis z władzami przy Okrągłym Stole. Wiele opozycyjnych środowisk w całym kraju sprzeciwiało się temu swoistemu duopolowi, wysuwając własnych kandydatów do parlamentu (np. Konfederacja Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego czy Unia Polityki Realnej Janusza Korwin-Mikkego) lub wzywając do bojkotu wyborów jako „niedemokratycznej farsy” (m. in. Solidarność Walcząca, Polska Partia Socjalistyczna – Rewolucja Demokratyczna, Polskie Porozumienie Niepodległościowe, Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość”). Zaisntniała jednak alternatywa, w której społeczeństwo uzyskało wreszcie możliwość wyrażania własnych opinii.

Kampania poprzedzająca głosowanie w myśl założeń PZPR miała przebiegać „niekonfrontacyjnie”. W ówczesnych realiach politycznych, w których o głosy

społeczeństwa zabiegały dwa skrajnie różne obozy polityczne, było to jednak zupełnie nierealne. Z perspektywy czasu jeden z głównych partyjnych decydentów tego okresu, Stanisław Ciosek, w rozmowie z Pauliną Codogni sam ocenił, że formuła ta była nonsensem. Agitacja wyborcza PZPR i jej satelitów powieliała jednak dotychczasowe schematy. Spotkaniom kandydatów na posłów z wyborcami brakowało dynamiki, podobnie jak w latach wcześniejszych miały one charakter wyreżyserowanych spektakli z długimi, nudnymi przemowami, odczytywanymi z kartek. Podstawowym błędem władz było przy tym wy-

► Na mocy postanowień Okrągłego Stołu do wyborów w czerwcu 1989 roku dopuszczono także opozycję, co zmieniło obraz kampanii wyborczej; na zdjęciu Tomasz Sarnecki, autor plakatu *W samo południe* przy punkcie wyborczym na warszawskim Żoliborzu, 4 czerwca 1989 roku

stawienie do walki o mandaty obsadzone w drodze rywalizacyjnych wyborów po kilku kandydatów na jedno miejsce. Prowadziło to do rozbicia poparcia dla obozu rządzącego między kilka osób, ubiegających się o dany mandat.

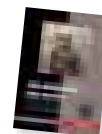
Po drugiej stronie z kolei wszystkie głosy w obrębie każdego mandatu mógł przejąć jeden kandydat solidarnościowy. Ubiegający się o miejsca w parlamencie z ramienia Komitetów Obywatelskich występował jako spójna i solidarna „drużyna Wałęsy”. W istocie rzeczy nie był to prawdziwy obraz, jego lansowanie przynosiło jednak korzyści. Opozycja mogła dzięki niemu jeszcze wyraźniej odróżnić się od zdeintegrowanego obozu władzy. Symbolicznym przejawem zastosowania tej strategii były plakaty i ulotki ze zdjęciami poszczególnych kandydatów ściskających rękę doskonale rozpoznawalnego przewodniczącego Solidarności. Podczas gdy

kandydaci KO nie byli w większości znani społeczeństwu, zdjęcia z Wałęsą ułatwiały ich polityczną identyfikację (żartowano, że były to wybory fotograficzne, bo mandat zdobywało się albo „ze zdjęcia” [z Wałęsą], albo „z aparatu” [partyjnego]). Wyborcy z reguły premiują jedność, co przy większościowym systemie wyborczym, który zastosowano w 1989 roku, okazało się szczególnie korzystne. Solidarnościowe spotkania wyborcze miały charakter profesjonalnego politycznego show, którego oprawę uświetniali znani artyści i ludzie kultury, także z zagranicy – m.in. Jane Fonda i Stevie Wonder. Charakteryzując kampanię wyborczą Komitetów Obywatelskich nie można nie wspomnieć także o poparciu udzielanemu ich kandydatom z ambon przez duchownych Kościoła katolickiego.

Zwycięstwo kandydatów KO było przytłaczające. Kandydaci solidarnościowi obsadzili 160 ze 161 możliwych do zdobycia mandatów poselskich oraz 92 mandaty senatorskie. Brakujący mandat w sejmie oraz osiem z dziewięciu pozostałych foteli w senacie przedstawicielom Solidarności przypadły po drugiej turze głosowania, która odbyła się 18 czerwca.

Odebranie Polakom wpływu na skład najwyższych władz państwowych było jedną z zasadniczych cech ustroju PRL. Przywrócenie możliwości dokonywania wyboru podczas głosowań poskutkowało druzgocącą klęską dotychczasowego obozu rządzącego, otwierając drogę do dalszych przemian demokratycznych w kraju. Dzień pierwszy częściowo wolnych, powojennych wyborów parlamentarnych nie był co prawda, jak ogłosiła z ekranów telewizorów Joanna Szczepkowska, końcem komunizmu w Polsce. Wyłom dokonany w komunistycznym systemie rządów był jednak na tyle głęboki, że nie sposób już było powstrzymać jego upadku. ❀

Michał Siedziako – politolog, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Szczecinie, autor m.in. książki „*Bez wątplenia było warto*”



Więcej na temat ordynacji wyborczej w 1989 roku pisała Paulina Codogni w kwietniowym numerze „Pamięci.pl”.

